MACIEJ PAPROCKI

ur. 1931; Lublin

Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, Świdnik, PRL, czyny społeczne, Powszechna Organizacja "Służba Polsce"

Czyny społeczne

Dzięki temu, że w młodości nigdy nie korzystałem z żadnych autobusów, z żadnej komunikacji miejskiej, chyba że trzeba było z Siedlec dojechać do Lublina, no to wtedy trzeba było już do jakiegoś autobusu wsiąść albo pociągu, to ja potrafiłem tuż po skończeniu budowlanki pójść z Lublina do Świdnika w niedzielę, ażeby obsłużyć czyn społeczny [Powszechnej Organizacji] „Służba Polsce”, junaków [Powszechnej Organizacji] „Służba Polsce”, bo pociągu akurat nie było w niedzielę. Były pociągi tylko w dni robocze, a junacy mieli o godzinie siódmej [w niedzielę] stawić się do pracy. To w tym czasie nie było żadnego pociągu. [Z Lublina do Świdnika] jest dziewięć kilometrów. Ja miałem wyrobiony taki marsz, że dziewięć kilometrów się pokonywało w godzinę dziesięć, w godzinę piętnaście minut. No, biec nie należało, dlatego że trzeba było zaoszczędzić trochę siły na to, ażeby tam na miejscu jeszcze w pracy pochodzić. Osiem godzin tam tuptałem i rozstawiałem tych młodych ludzi do różnych robót, bo moi koledzy z Warszawy rodem wyjechali do siebie, do rodzin swoich, wobec tego ja zostałem tylko z Lublina. Tam osiem godzin przepracowałem z junakami, wróciłem do domu po to, żeby zjeść i przypomniałem sobie, że w Zemborzycach mojej narzeczonej koleżanka bierze ślub. Wobec tego, że też nie było żadnego pociągu, a miałem godzinę czy półtorej godziny do ślubu w kościele zembrzyckim, więc poszedłem na piechotę do Zemborzyc. Okazało się, że się spóźniłem piętnaście minut i orszak weselny pojechał do domu. Więc z Zemborzyc tych, nazwijmy to, Kościelnych do Zemborzyc Tereszyńskich, przy Alei Kraśnickiej, poszedłem i jeszcze całą noc tańczyłem. Nie problem był dla mnie z przejściem z Podwala na Pochyłą, bo to była bardzo mała odległość w sumie.

Ci, którzy podlegali jakimś rygorom odbycia praktyki przed studiami, musieli przejść jakiś obóz taki pracy fizycznej. Wobec tego w okresie wakacji na miesiąc, albo lipiec to był, albo sierpień, zgłaszali się do brygad [Powszechnej Organizacji] „Służba Polsce”. Pracowali tam sześć dni w tygodniu normalnie, tak jak każdy inny pracownik pracuje fizycznie. Jeśli dostali się na budowę na przykład takiego osiedla w Świdniku,

no to byli pomocą murarską, pomocą ciesielską, zbrojarską i tak dalej, i tak dalej, to byli niefachowcy przecież. To byli ludzie, którzy ukończyli szkołę średnią przede wszystkim i byli już po egzaminach na studia wyższe. Wobec tego musieli ten miesiąc zaliczyć w brygadach [Powszechnej Organizacji] „Służba Polsce". Sześć dni pracy, intensywnej dość. Próbowano jeszcze zaszczepić tym młodym ludziom obowiązek dania z siebie czegoś więcej w czynie społecznym nieodpłatnym, bo tamte pieniądze, które zarobili w ciągu sześciu dni, stanowiły kwotę, która pozwoliła na zakup wyżywienia, zakup spania i tak dalej, i tak dalej, tych wszystkich życiowych potrzeb, natomiast to [miał być] nieodpłatnie jeszcze jakiś wkład w odbudowę i budowę ojczyzny. Darmowy wkład. Ja pracowałem wówczas – to była moja pierwsza praca – w Zjednoczeniu Budownictwa Miejskiego Warszawa, to była ekipa stworzona z ośmiu zjednoczeń funkcjonujących w Warszawie, teraz nazywałoby się to osiem przedsiębiorstw budowlanych. Ekipa była z tych pracowników technicznych stworzona po to, żeby w całej Polsce pokazywać, jak prawidłowo organizować place budowy i szybko budować. Więc przyjechała ta ekipa do Świdnika budować osiedle dla Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego. Oczywiście w idei przywódców partii wyglądało to tak, że dla wytworzenia takiej ekipy, która będzie uczyła całą Polskę, jak się pracuje, mieli być [wykorzystani] najbardziej wyselekcjonowani, najlepsi organizatorzy produkcji. To była teoria. W praktyce to cały odrzut był delegowany. Ten, który się nie sprawdzał tam na miejscu, po co miała dyrekcja tej firmy tam na miejscu w Warszawie mieć kłopoty ciągłe – wydelegowano to do Świdnika. Sam odrzut tutaj przyjechał. No, ale ten odrzut też miał swoje rodziny, też miał swoje żony, swoje dzieci gdzieś w Warszawie. Nie sposób ich było zatrzymać na dzień wolny, na niedzielę, żeby tutaj zostawali w Lublinie. Wobec tego cała wataha tych wszystkich inżynierów, techników, majstrów wyjeżdżała pociągiem do Warszawy po to, żeby w poniedziałek na dzień pracy wrócić. Tylko na ten jeden dzień wyjeżdżali.
Miałem alternatywę – albo czekać, aż otrzymam nakaz pracy na przykład do Czarnej Wody w Olsztyńskie, gdzie mi zupełnie nie po drodze było, albo zatrudnić się tam, gdzie będzie firma miała możliwość mnie wyreklamowania z nakazu pracy. A warszawska firma gwarantowała coś takiego, że będzie reklamować, jeśli się sprawdzę tam jako pracownik. No, do tego czasu tam żadna alternatywa. Nie czekałem na nakaz pracy, tylko poszedłem pracować tam. No, ale dla mnie był wtedy ten siódmy dzień wolny, dzień święty święcić. Nie mogłem, tylko trzeba było zastępować wszystkich tych, którzy pojechali sobie do rodzin. No, tak to wyglądało, tylko to był zupełnie inny okres. Ta młodsza generacja ludzi, która pozostała po tych nieszczęściach wojennych, chciała Polskę po pierwsze odbudować i po drugie wybudować po to, żeby być może jeszcze samemu trochę lepszego życia użyć, a już dzieciom na pewno zostawić lepszą Polskę. Ten entuzjazm do pracy nie polegał na tym, ile zarobię, tylko na tym, ażeby zapewnić sobie i swojej rodzinie lepszy żywot.

Data i miejsce nagrania	2012-08-10, Lublin
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"